

Spóźniony debiut, czyli rozmowa z historią

(Dokończenie ze strony 17)

tej poezji, a jest ich co niemiara, ale ważniejsza jest chyba przesłanie, jakie ze sobą niosą, aluzje do współczesności. Antyczny sztafaż nie może nam przecież przesłonić problemów dnia dzisiejszego, tego uporczywego szukania czegoś to, zaprezentowanego nie tylko w *Lamencie archeologa*:

*Z mojej ziemi warstwa po warstwie
wyjmuję kamienie jak twarze.
Zmielony popiół.*

*Strzępy lampasów, rdzę i lament.
Czasami trafia się kawałek materiału
z głową orła.*

Z kolei, w drugim wierszu pt. *Przypisy* z omawianego tomiku znajdujemy takie wyznaczenie:

*Często łapię się na tym, że łatwiej czytać Tacyta,
niż zrozumieć współczesnych. Mówią tak dużo.*

Wprowadźmy się więc do świata Kołodziejczaka, to cały słownik kultury antycznej. Zadanie do wypełnienia ma więc poeta i dla Meduzy, i dla Perseusza, Hektora, Achillesa, Antygony, Kronosa, Tezeusza, Minotaura, Odyseusza, Syzyfa, czy Midasa.

Ale pojawia się i Ozyrys z zupełnie innej bajki. Są jeszcze miasta: Troja, Teby, Cheroinea...

Postaci z mitów wpojonych nam poprzez lektury m.in. Parandowskiego, mieszają się z tymi autentycznymi, zapisanymi w starożytnych księgach, wyrzytymi na cmentarnych płytach, na zachowanych łukach tryumfalnych, czyli z Maurycjuszem, Spartakusem, Leonidasem, Sofoklesem, Demokrytem, Homerem (niepewny), Lwem Asyrii (Aszurbanipalem), Ajschylosem. Wielcy w przeszłości, najwięksi, bo przecież tylko tacy mogli przetrwać w pamięci dziesiątków pokoleń, dziś:

*Jesteście zbiorem czarnych znaków w księgach,
rozdziatem, salą w muzeum.*

Ale czy te wszystkie postaci, które wyżej wymieniłem, nie są dla współczesnych jedynie przebrzmiałą legendą, mitem? Czy pokolenie Kołodziejczaka nie jest ostatnim tak mocno obcującym z Antykiem, wyznającym, iż są to nasze korzenie, że nie możemy zrezygnować z kultury, której podłożem jest grecka filozofia, grecka dramaturgia, grecka demokracja... Starożytne mity są nieśmiertelne, to nasze „szkiełko i oko”, fundament naszego bytu. Czy możemy od tego uciec?

O córce poety, przedstawicielce, było nie było, najmłodszego pokolenia, czytamy w wierszu *Co z tym Hektorem?*:

*[...] obawiam się, że w jej myślach
więcej zdań zajmuje kot, niż człowiek.
Niż Troja. Niż Mykeny. Niż Hektor.*

W mojej recenzji wskazuję tylko na swoje zafascynowanie Herbertem, jego światem, na herbertowski trop. Nie jest oczywiście jedyny. Nie chciałbym jednak pisać o wszystkim. To zadanie zostawmy nie recenzentowi lecz eseście, krytykowi wybitnemu, np. prof. Gronczewskiemu. Profesor nie pisze krótkich tekstów. *Białe źrenice* świetnie się nadają na długi komentarz. Zasygnalizować muszę jedynie, iż drugi wielki temat *Białych źrenic* to pytania o polską tożsamość, wsłuchiwanie się w „szepty spod korzeni”, pamięć o nie byle jakich przyjaciotach, czego dowodem nie tylko wiersz *Przyjaciele*:

*Moim przyjacielem jest Waśka. Właściwie –
profesor*

*Wasilij Aristow [...]
Codziennie umiera z zimna i głodu, ale
ostatecznie*

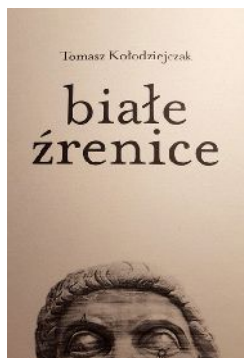
*zgaśnie od kuli strażnika.
Na razie siedzi skulony na krawędzi nor
obok innych takich jak on
I dają sobie wykłady o fizyce, o Puszkynie,
o Cezarze.*

Mają jeden koc, więc okrywają się nim na zmianę.

Jeszcze tylko wyjaśnijmy tytuł książki. Może nie wszyscy wiedzą, że w starożytności greckie posągi, ale nie tylko, były malowane w okropne kolory. Ponoć starożytni malarzykowie źrenice malowali na czarno, informację o tym można znaleźć, zdaje się, w didaskaliach do antycznych tragedii. Dopiero wieki wybieliły posągi, także greckie kolumny, czy resztki zachowanych świątyń, przydały im szlachetności, nadały jakby nowych znaczeń. Czyż to właśnie *białe źrenice* nie mogły zafascynować np. odkrywcę Troi, Heinricha Schliemanna?

Książka jest prawdziwym cackiem edytorskim, a to za sprawą Kasi Trzeszczkowskiej, absolwentki ASP, która „żyje w teraźniejszości, ale czerpie inspirację z historii – dlatego z przyjemnością zilustrowała wiersze zebrane w tomie *Białe źrenice*”.

Stanisław Grabowski



Tomasz Kołodziejczak, *Białe źrenice*. Nakład autorski, Warszawa 2018.

Vademecum osobliwości

*Warszawa jest płaskim miastem i wschód
słońca zaczyna się nad nią z daleka,
latem pastelowo przejrzysty, różowy
i siny, zimą pomarańczowy i ostry.*

A. Żuławski

Lektura trzeciej książki Jadwigi Śmigierey „Moje warszawskie zwariowanie” uświadamia nam, że autorka posiadała wiedzę historyczną, której te stronicie zawdzięczają wiarygodność do jakiej powinny predystynować. A może anioł stróż prowadził ją – jak aniołowie prowadził proroków. Sytuacja (nawet niepełnej) informacji wymaga dużej przenikliwości, daru obserwacji nawet drugorzędnych zdawałoby się szczegółów i zarazem dobrej pamięci. Tylko w taki sposób można przeniknąć do tajemniczych zakamarków sumienia i świadomości czytelników.

Tytuły poprzednich książek „Zwariowałam” i „Nadal wariuję” (na pierwszy rzut oka mogą wydać się nieczęsto enigmatyczne) słownik wyrazów bliskoznacznych wymienia cechy charakterystyczne słowa „zwariowanie” – w pięćdziesiąt gonić. Mieć bzika, ćwieka, młynka, fioła, chysia. Mieć kręcka, fiksum dyrdum. Nie pytajmy – czy w tym zwariowaniu jest metoda? Tworzenie jest sprawą szalenie subiektywną – osobną. Teza ta jest jednym z podstawowych wyznaczników dzieła i otwiera przed nami perspektywy interpretacyjne. Dlatego, że zapewnia piszącemu tzw. „zinstytucjonalizowane współistnienie”.

Nad autorką tej książki spoczywał obowiązek przekazania faktów – i, że z jednej strony chroni ją przeszłość, a z drugiej przyszłość. A więc może poczuć się bezpieczną – nie strąsając z siebie teraźniejszości jak kropli wrzącej wody. Z duchem epoki rusza w dalszą drogę. Poznajemy sekrety miasta – a zwłaszcza damskie sekrety, które mają skłonność do poetyckości. To one przychodzą jako informacje. Nie my je stwarzamy – one po prostu są. Wyłaniają się ze świata dzieciństwa: „Tu się urodziłam i tu całe życie mieszkam”. O Warszawie wiemy jeszcze, że jej tajemnica leży w nieodwołalności wyroku, gdzieś, kiedyś, wszak orzeczonego. W okresie Księstwa Warszawskiego (1807-15) nastąpiło wielkie ożywienie – wtedy podjęto szersze plany urbanistyczne. Dzisiaj o Księstwie Warszawskim mówi się często z szderstwem i pogardą „rosyjski komunizm zapanował nad pobitym, wykrwawionym miastem europejskim”. Trzeba się nauczyć tak właśnie patrzeć na miasto, żeby wzbogacić jego perspektywę o nasze najprawdziwsze i najgłębsze uczucia. Dostrzegać poszczególne ulice, obrazy i widoki, które będą nam przywoływać na myśl różne stany duszy. Może się zdarzyć, że kochamy swoje miasto (jak zdarzyło się autorce) jak kocha się rodzinę. Portret miasta posiada już określone własne miejsce w ogromnym ciągu poezji i prozy płynącym przez stulecia.

Czasem tylko, spoza tych rzeczy bliskich